



## PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

### Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych  
po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60;  
kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

### Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.

EXPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr 5.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta  
kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80  
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75; na pro-  
wincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebnera i Spół., kwartal. tal. pr. 1  
sgr 20.

### Etyczne stanowisko kobiety

W POEZJI NASZEJ.

(Dalszy ciąg).

#### ALDONA.

Aldona, bohaterka poematu „Konrad Wallenrod“, to podobnie jak Grażyna, żona obywatelka, tylko w położeniu innem i z innym duchem w piersiach. Obie żyły w wojennych, nieszczęśliwych czasach, wśród walk i starć krwawych, które je w swój okrutny wir chwytały; przecież próba, którą życie każe przeżywać Aldonie, jest odmien-  
ną. Mąż tamtej zachwał się i idei swej przenie-  
wierzył, w obowiązku swym nie dotrwał; ta jest małżonką wielkiego człowieka, który jej i własne  
szczęście dla wysokich celów poświęca, i w nie  
zapatrzonej, ku nim dążącej, zapomina o niej  
niejako. Jest zatem Aldona i szczęśliwszą i nie-  
szczęśliwszą od Grażyny, bo cóż to jest miłość  
takiego męża posiadać, i tracić ją, tracić jego!  
Tragiczność losów tej pary małżonków jest też  
stokroć wyższa — wyższa i dlatego jeszcze, że  
nie jest to jeden gwałtowny płomień zapalu, któ-  
ry w wyrocznej godzinie losu z serc wystrzela i  
staje się zarazem ogniem stosu, na którym to dwo-  
je ofiarników płonie. Tam „ciekają dnie, tygo-  
dnie“... ciekają lata w poświęceniu, w boleści, w cier-  
pieniu milczącym, i serce niewiasty ma siłę wier-  
nego wytrwania; ani się oburza w żalu egoisty-  
cznym nad życia swego złamaniem, ani powoli za-  
pomina, zmienia się, czemu innemu oddaje. Aldona  
jest wysoko pojętą, dostojnie piękną naturą ko-

biecą i doskonalej, niż Grażyna, w warunkach ko-  
biecości swojej rozwiniętą: bo też mąż obok niej  
stojący, jest doskonalszą, wyższą od Litawora  
mężkością i ztąd porządek rzeczy normalniej się  
między niemi układa. Żona nie potrzebuje męża  
od upadku bronić, ale mąż do wyższego, szczyt-  
niejszego życia ją podnosi, podaje niejako rękę  
wszystkim jej szlachetnym skłonnościom i pra-  
gnieniom, aby je ze stanu tęsknot i pożądań nie-  
określonych wywieść na pogodną jasność sa-  
mowiedzy duchowej i dać im skierowanie w życiu,  
do jego realnych, jakkolwiek górnych potrzeb  
zwrócenie. Ona-to przyznaje; do powodów mi-  
łości swej dla męża zalicza, między warunkami  
swego nieszczęśliwego szczęścia stawia, i samo-  
tnica, w pustelnicznej wieży zamknięta, woła:

„Jeszcze w ojczyźnie ciche wiodąc życie,  
Nieraz w pośrodku towarzyszek grona  
Za czemś tęskniłam i wzdychałam skrycie,  
I czułam serca niespokojne bicie.  
Nieraz z poziomej uciekałam łąki,  
I na najwyższym stanawszy pagórku,  
Myślałam sobie: gdyby te skowronki  
Ze skrzydeł swoich dały mi po piórku,  
Poszłabym z niemi, i tylko z tej góry  
Chciałabym jeden mały kwiat uszczyknąć,  
Kwiat niezabudki, a potem za chmury  
Lecieć wysoko, wysoko — i zniknąć!  
Tyś mnie wysłuchał... Ty skrzydły orlemi  
Monarcho ptaków, wzniosłeś mnie do siebie.  
Teraz, skowronki, o nic was nie proszę,  
Bo gdzież ma lecieć, po jakie rozkosze,  
Kto poznał Boga wielkiego na niebie,  
I kochał męża wielkiego na ziemi?“...

Jest to głos najszlachetniejszego uniesienia i  
najszlachetniejszego pojęcia miłości, takiego przez

nią uszczęśliwienia ducha, że już wszystkie wa-  
runki ziemskie doli lub niedoli znikają i stają  
się niczem. W całej też literaturze dawnej i no-  
wej nie ma wyżej postawionego ideału miłości,  
wyżej pojętego ideału kochającej kobiety, jak  
Aldona, której przecież poeta nie czyni jakas  
wyjątkową, po za znany i uznany typ kobiety  
występującą istotą. — przeciwnie jest ona naj-  
zupełniej wedle tego typu przez poetę odmalowa-  
ną, i ma wszystkie jego cechy charakterystyczne.  
Grażyna poza jego granice poniekąd występu-  
je i jeszcze przed wybiem godziny jej wielkiego  
czynu cośkolwiek na pole działalności męskiej  
się przerzuca, gdy Aldona zdaje się przedstawiać  
zrazu najzwyczajniejsze, najpospolitsze dziewczątko.  
a potem tylko dobrą, przywiązaną do męża żo-  
nę. Jeżeli „Żywila“, jak prawie z pewnością  
twierdzić można, była pierwszym zarysem do  
postaci Grażyny, to już przez te dwa lata czasu,  
jakie poetę oddzielają od stworzenia jednej i dru-  
giej bohaterki swojej, jest wielka w jego pojęciu  
kobiety zmiana. Żywila jest tak, jak Grażyna,  
kobiecością heroiczną, szczytnie obowiązki oby-  
watelskie pojmującą i zdolną dla nich do ofiary  
najwyższej: do wyrzeczenia się miłości i szczę-  
ścia, które z niej płynie, ale jest w niej suro-  
wość katońska, jest w niej srogość i twardość  
serca niekobieca, bo choć później kochanego czło-  
przeżyć nie zdolna, po skończonem zadaniu, któ-  
re w jego miejscu podjęła, martwym trupem pa-  
da, niemniej pierwiej nic nie czyni, aby go dobru  
i cnocie powrócić, i niemiłosierna jak Nemezis,  
jak głuche i ślepe przeznaczenie, natychmiast,  
doraźnie, karę wymierza. Grażyna już ma ko-  
biecą tkliwość w sercu, już uczuciowość jej równa  
się bohaterskości i nawet bohaterskość sama nie-  
mał, że z tej uczuciowości wypływa, bo nie nawi-  
dząca zdrady, mogła była z zimną krwią zdracę  
porzucić, coby było rzeczą prostą i prawie natu-  
ralną: a ona jednak przy nim stoi i tylko siebie  
na ofiarę wydaje, aby wybrany przez jej ser-



ce człowiek, zdracą się nie uczynił. Jest w niej obok tego uczucie osobistej swej godności, jest troskliwość o swój własny honor. o swoje własne imię w narodzie, bo „nie chce, aby po Litwie gadano: że ona jest bratobójczą wojny przyczyną, że przez nią i dla niej „brat na brata następował zdrowie“. Uczciwa to duma, która w człowieku czci jego strzeże, przecież w chwili wielkiego czynu Grażyny gra ona w jej sercu rolę podrzędną: podniętą do niego i iskrą, płomieniem zapalającą, jest silna miłość, silna, głęboka uczuciowość. Mickiewicz miał lat dwadzieścia jeden, gdy „Żywiłę“ pisał. Jego wysoka, szlachetna natura poety stawiała sobie przed oczyma równie wysoki, szlachetny ideał kobiety, dla którego przecież, więcej przeczuwający, niż znający życie, dopiero kształtu sobie szukał. We dwa lata później tworząc „Grażynę“, już on go ma: wyniosłe piękny, blaskiem miłosnego uczucia spromieniony i od gorących uderzeń serca ciepły. Aldona, przychodząca z kolei, okazuje głębsze jeszcze w pierś kobiety wejrzenie i jest jakoby wyrazem kobiecości doskonałej, działającej na drodze jej własnego powołania i przeznaczenia w ludzkości, co bynajmniej bohaterstwa i ofiary nie wyłącza. Rozwija się ona przed oczyma czytelnika na coraz wyższą piękność ducha, choć w swoim zakresie kobiecym utrzymaną pozostaje. W orszaku sióstr i rówieńnic „za krosnami usiada, albo się bawi przedziwem“ tem przecież już nad inne podniesiona, że umiała najszlachetniejszego pokochać, że „ucho jej łowi a myśl łakoma polyka“ jego słowa, które jej odsłaniają nowe, nieznane dotąd horyzonty życia. Ona, książęca córka, on, rycerz nieznanego rodu i nazwiska; ale miłość wszystkie te przypadkowe różnice wygładza, bo jakąż to jest miłość! Mężczyzna nie widzi w kobiecie tylko zjawiska piękności, daje jej wiarę w swego Boga, dzieli się z nią całym moralnym zapasem swoich myśli i uczuć, które ona przyjmuje i w głąb ducha swego bierze. „On ją chciał wszystkiego nauczyć, co sam umiał, niestety! on ją i tego nauczył, czego dotąd nie umiał — on ją nauczył kochać...“ Tak on ją tego właśnie przez tamto wszystko nauczył: rozbudzoną, uszlachetnioną duszą kobiety inaczej już i miłość odczuwa. Aldona kocha wzruszeniem serca głębokiem, westchnieniami topi lody na szybie, przez którą za Walterem wzrok posyła, i choć Mickiewicz zostawia jej ten naiwny rys dziewczęcego, lęklivego w sobie zmieszania, choć „różny kwiatek wyszła zielono, a listeczki czerwonym umalowała kolorem“, jednak daje on jej sercu uczucie silne, poważne, głębokie, które ludziom pytać się każe: „Gdzie jej dawna wesolość, gdzie jej dziecinne rozrywki? W święta inne dziewczę idą zabawić się tańcem, ona siedzi samotna, albo z Walterem rozmawia...“ Uczuciem takim powinna być miłość dwojga ludzi, co się łączą ze sobą na całe trwanie ziemskiego żywota, co sobie aż do śmierci wierność przysięgają; i czytelnik czuje też, że będzie ono mocnem jak śmierć. „Niemy, wy myślicie, że tu koniec piosenki“ — woła Halban, wajdelota — w waszych miłosnych romansach, gdy się rycerze poženia, kończy trubadur piosenkę, tylko jeszcze dodaje, że żyli długo i byli szczęśliwi!... Walter kochał swą żonę, lecz miał duszę szlachetną — szczęścia w domu nie znalazł, bo go nie było w ojczyźnie...“

Aldona zatem poszła za męża nie dla szczęścia? Tak, ona poszła za męża nie dla tego szczęścia, co jest wyłącznem oddaniem się sobie, w sobie zasklepieniem, egoizmem we dwoje, jak to określiła Sand. Miłość wszechpotężna związała dwa serca gorące, ale nie dlatego, aby wydrzeć je przez to krajowi, ludzkości — światu całemu. Jest to niewątpliwie obowiązkiem małżeństwa: aby mąż żonie, żona mężowi dawała szczęście, ale istnieje stopniowanie obowiązków od niższych do wyższych, do najwyższych, i to jest owa drabina Jakubowa, która od ziemi do nieba sięga. Gdyby kobieta nie uznawała dla męża praw wyższych nad jej uszczęśliwienie, to mężczyzna szlachetny musiałby pozostawać samotnym i wtedy duch kobiety już — by się nie łączył z duchem mężkim w najszlachetniejszym miłości dziele — podpierania się wzajemnego w dążeniu do celów wielkich. Mickiewicz w związku Alfa z Aldo-

na przedstawił pierwowzór małżeństwa wedle wysoko pojętego ideału miłości i szczęścia. Dwie piękne, kochające się istoty ludzkie, łączą się na dół i niedół życia i oto mąż pada z rozpaczą u nóg żony, gdy pozew wyższego obowiązku, każe mu ją opuścić: — Biada niewiastom, które kochają szaleńców! — woła w uniesieniu namiętnem i dodaje: — „Wielkie serca, Aldono, są jako ule zbyt wielkie... Miód ich zapełnić nie może — stają się gniazdem jaszczurek!“ Ale wiemy już jej odpowiedź na te słowa, daną mu i to nie w chwili exaltacji, nie w chwili porwy uczuć, pierwszej, gwałtownym. Ona przez dziesięć lat samotności, oddalenia, tęsknoty, zmierzyla się z tem nieszczęściem swoim, że kochała „szaleńca“ i ma dla niego takie słowa, i to nie raz jeden: „Nic nie żałuję, choć gorzkie lzy leję...“ powie mu raz jeszcze; pustelnica zamurowana w wieży, rozmawiająca z tym ukochanym swoim ukradkiem wśród nocy, oddzielona od niego ścianą grubych kamieni. Powie mu: „Miałabym narzekać?“ Poeta czuł, że jest dla kobiety szlachetnego ducha rozkosz najwyższa w miłości „wielkiego człowieka“, w miłości, która daje jej „wylatywać nad poziomy“, która stwarza jej w sercu źródło, nigdy nie wyczerpanego szczęścia i głos Aldony mówi z wieży:

Z tobą mój luby, z tobąśmy przeżyli,  
Znikomą chwilę, lecz tej jednej chwili  
Nie będę mieniać z całą ziemią zgrają,  
Na ciche życie przepędzone w nudzie....“

Mickiewicz postawił sobie przed oczyma to istnienie pasożytne, własnem tylko potrzebom oddane, dla siebie, dla celów lichego używania trwające, istnienie całych tych tłumów, które maluczkie swe interessa w maluczki sposób załatwiają, są jak konchy, co się w bagnie tają: tych tłumów co jedzą, piją, stroją się, tańczą bez żadnej myśli wyższej, bez drgnięć serca gorętszych i nieżnośność, nieżnośność, nudę takiego wegetowania dla dusz szlachetniejszych wzrokiem poety objawiając, włożył w usta Aldony to uznanie szczęścia swego, że miłość wyższego męża stworzyła jej życie inne, nieodebrane już jej nigdy, będące już jej własnością mimo wszystkich prób losu, który ona przecież sama sobie wybrała. Mąż sam, na wielką ofiarę się ważąc, nie chciał, nie śmiał ofiary podobnej od niej wymagać i Aldona nie staje się nią dlatego, że ślubem, obowiązkiem nierozdzielnej siły została związana. Miała możność, miała wolność rozdziału — odrzuciła go, nie przyjęła. On jej w godzinie rozstania powiada: — „Wróć się, luba, do domu, może będziesz szczęśliwa!... Jesteś młoda i piękna, znajdziesz pociechę, zapomnisz...“ Ale ona, „sercem odgadła, że niepodobna powracać, że niepodobna zapomnieć“. Tylko liche, nędzne serca zapominają, tylko liche, nędzne serca są jak te ptaki, co po zburzonym gnieździe jednym, wiją sobie drugie. Poeta nie chciał mieć taką Aldony i ona już rozstaje się z całym dawnym życiem swoim, bo ona musi mieć teraz samotność i ciszę, w którejby serce jej mogło skupić się wiernie w tęsknocie swej i pamięci. Uczucie to naturalne w jej położeniu i nie ma w nim ani exaltacji, ani sentymentalności, a jest tylko głęboka, gorąca miłość. Używać choć względnego szczęścia, gdy on tam rzucił się w przepaść samotnego cierpienia! Każda najpospolitsza, a tylko prawdziwie kochająca kobieta zrozumie to, co popycha Aldonę za kratę klasztorną w chwili rozstania się z Alfem. Przecież uszanowanie wyższe tej szlachetnej istoty, musi tu być koniecznem rzeczy następstwem. Mąż je uczuwa. Wczoraj do nóg jej padał, ręce jej cisnął do piersi, wczoraj „przepraszał za wszystko, co ucierpiała przez niego“ i „gęstemi kroplami lzy mu się rzuciły z oczu“; — dziś daje on jej przy rozstaniu coś więcej, niż te oznaki boleści i miłości: — dziś czyni ją powiernicą swoją: „Opowiedział swój zamiar, tać przed światem nakazał“. Jej „jednej“ stawia się on przez to „znajomy“... Kochanka wyrasta na przyjaciółkę....

Tu Mickiewicz nie powtarza tylko wyrazów użytych w „Grażynie“, ale wypływają one z rze-

czy samej, z jej treści i ducha: żona jest tu „osłoda smutku“ mężowskiego, ciężar losu zostaje podzielonym: dźwigają go teraz we dwoje!

Jest to więcej niż małżeństwo kochającej się pary: jest to związek dwóch duchów — najpiękniejszy, najświętszy węzeł na świecie.

Ale Aldona ma obok tego słabość, miękkość kobiecego serca — ma przy wierności i wierności tęsknotę. Nie może ascetycznie „zaręczyć serca niebu“, miłość jej dla Alfa trwa, serce jej niezdolne jest pozbyć jej się, a nawet nie ma nigdzie śladu, aby się jej pozbyć pragnęło. Przeciwnie, poeta tę miłość, trwającą w tęsknocie i oddaleniu, maluje najdelikatniejszymi barwami poezji, a maluje tak prawdziwie, jakgdyby jakie smutne serce kobiece otworzyło mu się do dna. Aldona uprosiła sobie u nieba sny, które ją pocieszały — lecz obraz snów jest niemy, a tam gdzie on, jej Alf, nie był z nią nigdy — tam wszystko „było tak nowe, tak obce, tak cudze!“ Wtedy pyta się: czy nie wolno jej żądać, aby oglądała go choć zdaleka, aby choć umarła w jego pobliżu? Aldona przenosi się też w te miejsca, gdzie on, wedle zwierzeń jej uczynionych, ma się zjawić kiedyś. To, co woła w uniesieniu radosnem, gdy pustelnica ujrzała go nakoniec z wysokości swego więzienia, gdy usłyszała głos jego, gdy wie, że go będzie widywać czasami, że on nad jezioro do stóp jej pustelni dla niej przychodzić będzie — te wyrazy zdające się być same sobie przeczeniem i antytezą: „Dziś, ileż szczęścia! dziś możemy razem — razem zapłakać!“ niech nikt za nienaturalny sentymentalizm, za nienaturalną, lub chorobliwą exaltacją nie bierze — i zanim-by to uczynił, niech się zapyta ludzi, których miłość była nieszczęśliwą: czy nie ma szczęścia, słodkiego, głębokiego szczęścia, w łzach takich?

Mężczyźni przecież zdają się one nie starczyć; mężczyzna zżyma się na nie, wołając: — „I cóż wypłacemy?“ bo on wie, że ofiara jego jeszcze nieskończona, i patrząc w przeszłość widzi okropności, przed którymi duch jego drży, grozą i wstrętem przejęty. Ale to leży już w nieszczęśliwym wyborze środka, który Alf na swoje poświęcenie, na swoją broń przeciw Krzyżakom wybrał — w tem, że oręż jego jest ukutym ze zdrady. Walka to wprawdzie była zdrady ze zdradą, podstęp z podstępem — jego dzieciństwo niewinne zostało równie zdradzonem i dziecko litewskie tak chowano, aby kiedyś „syn strzelał na ojca własnego wypuszczal“, ale niemniej obraz to jak z Dantejskiego Piekla wzięty, i rozpacz ogarniała nieszczęśliwego, że kochana kobieta przybyła aż tu przerażający los jego dzielić. Lecz poeta pragnął taki posąg miłości, wierności, wytrwałości kochającej kobiety wznieść, tak przed duchem jego rysował on się i dźwigał, najwyższego ideału dorastający. Może, tworząc go, marzył, że z taką miłością na pociechę i błogosławieństwo można mężczyźnie w gardło smoka, w bezdenne czeluście piekła iść, i Alf, śmierć przed sobą już widzący, okrutną, ohydą śmierć, pragnie mieć od ukochanej coś, co było, „jeszcze dzisiaj“ na jej łonie. Pragnie tego „świeżego daru“: „Chcę go przed śmiercią na mem sercu złożyć...“ woła, lecz czuje, że Aldona przeżyć go nie może, że serce jej musi pęknąć w chwili jego zgonu, i mężczyzna tak głęboko serce i uczucie kobiety rozumie, że znać widzi w tem pewną łaskę losu dla niej, bo przyrzeka jej to sam pierwszy dać znać, skoro wróg przyjdzie wziąć jego życie.

I tak się kończy poemat: Alf umierając, rzuca z okna swego lampę, płomień jej:

„Dając skonu hasło,

Ostatni, wielki krąg światła roztoczy,  
I przy tym blasku widać Alfa oczy...  
Już pobielały — i światło zagasło....“

I w tej-że chwili przebił wieży ściany  
Krzyk nagły, mocny, przeciągły urwany.  
Z czyjej to piersi? Wy się domyślicie;  
A ktoby słyszał, odgadnąłby snadnie,  
Że piersi, z których taki jęk wypadnie,  
Już nigdy więcej nie wydadzą głosu....“



„Taka pieśń moja o Aldony losach”—pisze poeta w ostatniej strofie poematu: więc można śmiało przypuścić, że Aldona jest główną jego bohaterką i że ta wspaniała poetka jest poświęcona na oddanie wysokiego pierwowzoru kobiety i miłości. Mickiewicz mógł zrobić łatwo Aldonę kochanką tylko, niemniej zrobił ją żoną, towarzyszką życia mężczyzny stałą, codzienną: dał obraz szczerze piękny prawidłowego, spokojnego związku, zaprzysiężonej i przysięgi dotrzymującej miłości—wiernej aż do śmierci....

Kazał on próbie tej wierności ciągnąć się lat dwanaście — dwanaście wieków tęsknoty, samotności, niepokoju; lecz jest-że to ofiara spełniona tylko dla jednego, kochanego człowieka? Aldona nazywa się wyraźnie żoną „wielkiego człowieka”, wyraźnie w tej męża swego wielkości pociechę, uszczęśliwienie swoje czerpie, to nazywa taką „rozkoszą”, nad jaką nie wyższem i większem być nie może, ku czemużby kobieta sięgnąć, ku czemu wzbić-by się mogła, i ztąd też postać ta pozostaje w poezji naszej jako ideał żony obywatelki: Żywila, Grażyna, Aldona—to cykl cały, wśród którego Aldona jest najwyższą postawioną, najdoskonalszą formą myśli Mickiewicza o kobiecie.

## POGA WĘDKA.

Zanosilo się na trwałą pogodę przed samymi świętami i Boże Groby oblało takie złociste. wiosenne słońko, jakgdyby już zima pierzchła na zawsze: tymczasem w drugiej połowie Kwietnia przypomniał sobie śnieg, że miał padać w Lutym i zaczął pruszyć nieśmiało wprawdzie, wstydliwie, zrzadka, ale pruszył — rozpraszając nasze wiosenne iluzje.

Mniejsza o pogodę, ale ta zmiana aury znowu się da we znaki rolnikom, którzy drżą na samą myśl złych urodzajów. Z rozmaitych stron kraju donoszą już o szkodach, jakie wiatry zimne i nocne przymrozki wyrządziły oziminom. W Kieleckiem np. z powodu znacznych śniegów, które spadły w Karpatach, panowały tak przejmujące chłody, że podczas nocy woda w stawach się ścinała.

Trudno też przy takiej temperaturze rozpocząć, lub prowadzić dalej roboty w polu; opóźnia się wszystko; tylko zle i biada śpieszy i wyprzedza dobre, a nim słońce zejdzie, rosa czy wyjada.

Niepogodna wiosna nasyła też choroby rozmaite na lud wiejski i trapi biedaków tyfusem i szkarlatyną a wobec braku porządnej pomocy lekarskiej w gminach cała ufność w Boga i silnej naturze, która się chorobie oprzeć próbuje.

O tej pomocy lekarskiej, o koniecznej potrzebie zwiększenia jej na prowincyi słyhać ciągle, a jednak o tem, żeby się coś robiło w tym kierunku—prawie nic.

Ktoś tam we Francyi obliczył, że ogólna liczba żyjących lekarzy wynosi aż 193.000, a z tych najwięcej posiadają Stany Zjednoczone, bo aż 65.000; zdaje się wszelako, że polskich medyków będzie stosunkowo najmniej w tej ogólnej summie, a jakkolwiek nie znać tego w Warszawie, to za to uczuwać trzeba niedostatek ów na wsi i na prowincyi.

Jakżeż często nawet tu, w głównym ognisku ruchu i życia, trudno niekiedy o pomoc lekarską na razie, zwłaszcza w nocy. Dopiero teraz grono młodych Eskulapów zamierza zakrzętać się około uorganizowania stałej pomocy lekarskiej na wzór urzędów podobnych zagranicą, a mianowicie w Amsterdamie.

Mówiono o tem i pisano wiele w roku zeszłym, ale projekt nocnych deżurów z inicjatywy Towarzystwa Lekarskiego nie doprowadził do celu, więc obecnie inicjatywa prywatna bardzo na czasie się zjawia.

Stowarzyszeni lekarze podzielić mają miasto na rewiry, a kolejno w każdym rewirze jeden

z nich czuwać będzie na zawołanie chorego i obowiązkowo pośpieszać z pomocą.

W dziennikach ogłaszane będą też adreśsy deżurnych, które i policyjanci nocni interessowanym na żądanie udzielać mają.

Ważna to i wielka ulga, a kto zaskoczony nagłą chorobą w domu drogiej osoby, po nocy błądzić musiał i dobijać się często bez skutku do rozmaitych drzwi, ten z wdzięcznością i uznaniem przyjmie wiadomość o projekcie, któremu tylko jak najrychlejszego urzeczywistnienia życzyć należy.

Co prawda, najlepiejby było nie korzystać nigdy z tej dogodności, ale... wypadki chodzą po ludziach i chorować zdarza się każdemu.

A o zdrowie dzisiaj równie, niestety, trudno, jak o... gotówkę. Ludzie skarżą się jednako na katar, kaszle i grypy, jak na pustki w kieszeni. Pieńędzy jeszcze pożyczyc można, choć i to rzecz nie łatwa, ale zdrowia nie pożyczyc nikt u nikogo.

Przeraża, ale nie zadziwia wiadomość, że tam ktoś prawie z głodu umrzeć musiał, jak ta jakaś biedna szwaczka dwudziesto letnia, o której *Kuryery* wspominały. Nieuczciwą być nie chciała, uczciwie wyżyć nie mogła z 12 rs. miesięcznej pensyi, z matką do spółki.

A czy to ona jedna?!

Słyszeliśmy o jakiejś chorej wyrobnicy w szpitalu, która swoją porcyą rozdzielała pomiędzy kilkoro dzieci, aby ich od głodowej śmierci uchronić.

Jakżeż wobec takiej nędzy sromotnie i niehumanie wydają się wybryki, nadużycia—marnotrawstwo lekkomyślnych!...

Dobroczynność publiczna ma dzisiaj ważniejsze i trudniejsze, niż kiedykolwiek, zadanie do spełnienia i trzeba jej oddać tę sprawiedliwość, że o ile możliwości obowiązek swój spełnia.

Trudno z pustego nalewać, nawet mądrymu Salomonowi, ale choćby po kropli wysączać należy, aby biednym Łazarzom bliźnim nie dać zmarnieć bez wszelkiej pomocy.

Zanotować winniśmy, że kwesta tegoroczna lepszy, niż kiedykolwiek przyniosła rezultat pod względem materialnym; nie się tylko nie zmieniło w zachowaniu niektórych kwestarek, dających z siebie publiczne zgorszenie. Zawsze tasama głośna paplanina, zawsze ta nieszczęsna francuzczyzna, zawsze ten ton swobodnej, salonowej flirtacji przy pewnych stołach kwestarskich, na których brak tylko filiżanek z herbatą i sucharków, aby usprawiedliwić zachowanie się dobroczynnych dam.

Nie wymagamy jakiejś szczególniejszej dewocyi od tych pań w kościele, przy spełnianiu filantropijnego obowiązku, ale zwyczajnego taktu i przyzwoitości, która nie pozwala śmiać się i dowcipkować przy czymkolwiek grobie, a cóż dopiero przy—grobie Chrystusa!

Oprócz dochodu z kwesty wielkotypodniowej, wspomnieć winniśmy o znacznym zasiłku, jaki przyniosło przedstawienie amatorskie w Teatryku Dobroczynności szwalniom ubogich dziewcząt, założonym pod opieką tegoż Towarzystwa przy ulicy Freta.

Salka mała i ciasna, z której dochód w normalnych warunkach daje niewiele więcej nad 200 rs. brutto, dzięki agitacji i ofiarności osób naszego „lepszego towarzystwa” zapełniła się widzami, co około 1000 rs. złożyli okupu za kilka godzin przyjemnych wrażeń.

Pod kierunkiem hr. Ronikera i hr. Skarbka dobrane grono amatorów i amatek odegrało dwie komedijki tłómaczone (jakby już oryginalnych i lepszych nie podobna było znaleźć w repertoarze amatorskim) p. t. „On nie zazdrośny” i „Moja córeczka”, a trzy nader wdzięczne i dowcipnie ułożone obrazy z żywych osób przez znaną artystkę pn. Butowtt-Andrzejkowiczównę, uwieńczyły to przedstawienie.

Na liczne żądania osób, które od zamkniętej kasy w dniu pierwszego widowiska odejść musiały, powtórzone będą, oby z równym powodzeniem, w przyszłą Sobotę.

Kiedys wyraziliśmy już na temsamem miejscu

nasze zdanie co do spożytkowania w ten sposób towarzyskich talentów na cele dobroczynne; cieszymy się przeto, iż myśl nasza tak dobrze się przyjęła i urzeczywistniła.

Dobry przykład powinien znaleźć naśladowców.

Serdeczny *Sep* w „Biesiadzie literackiej” radzi naszym paniom i panom na prowincyi, aby poszły w ślady dobroczynnych Warszawianek i taką piękną zabawą rozjaśniały tam tło towarzyskiego życia, a zarazem przysparzały grosza biednym i potrzebującym wsparcia. „Byle tylko — powiada on słusznie — nie porywać się na obrazy, wymagające historycznych strojów, zbroi i wystawy, jak np. obrazy z powieści Sienkiewicza „Ogniem i mieczem”, którym służyła cała zbrojownia Muzeum Czartoryskich w Krakowie. Wiele pięknych scen można ułożyć w powszednich sukniach biedniaczek na tle wioski i szarego nieba, lub sadu z pasieką; w każdym naszym pocie znajdują się ustępy przydatne dla scen prowincjonalnych, a jakże to miło choć raz w życiu, chociaż na scenie być gospodarną „Zosią”, co ptactwo własną rączką karmi! Tylko czy na tak prozaiczną rolę przystaną panny, znające się lepiej na sztucznych warunkach, niż na drobiu, a zgrubiałą przy pracy rączkę uważające za większe ubliżenie swemu szlachectwu, niż róż i blansz na twarzy?”...

O pożytku i znaczeniu teatrów amatorskich na prowincyi, zwłaszcza dziś, gdy wędrownie trupy aktorskie porozbijały się po większej części i przestały apostołować sztuce, nie potrzebujemy chyba rozwodzić się szeroko; środek to łatwy a najpraktyczniejszy rozbudzenia życia towarzyskiego i urozmaicenia powszednich wrażeń, popularyzowania łatwiejszych przynajmniej utworów swojskich na scenie i kształcenia talentów z pożytkiem dla celów dobroczynnych.

Z tego rodzaju szlachetnej rozrywki powinna być częściej korzystać prowincjonalna inteligencja, byle jej tylko nie przeszkadzały śmieszne uprzedzenia parafianstczyzny i zaściankowe kome-raże.

Możeby z czasem i scena główna skorzystała z jakiego talentu, który gdzieś w ukryciu niepoznany marnieje, a talentów tych coraz większa okazuje się potrzeba na deskach naszego teatru, szczytającego się tradycją tylko i ostatkami świetnej niegdyś plejady artystów dramatycznych na horyzoncie sztuki.

Rozeszła się w ostatnich czasach pogłoska, jakoby jeden ze starszych aktorów i długoletnich kierowników trupy prowincjonalnej zamierzał otworzyć w Warszawie, z prywatnej inicjatywy, tak pożądaną szkołę dramatyczną.

Dobremi chęciami piekło wybrukowane; zdaje się, że i ten zamiar ograniczy się tylko na dobrych chęciach i żałować nie będzie czego, bo nowe usiłowania, niepoparte należyte, nieugruntowane na szerszych i poważniejszych podstawach skończyłyby się jednym zawodem więcej. Szkoła dramatyczna prywatna, bez zasiłku rządowego, bez opieki Dyrekcji Teatrów Warszawskich, zorganizowana byle jak,—ani racji bytu, ani widoków utrzymania mieć nie może, zwłaszcza jeżeli nie zechce szukać środków na ubocznych drogach, po których instytucja coraz niżej schodzićby musiała do poziomu zwyczajnej spekulacyjnej entrepryzy.

Mamy już dość tych niedouczonej, niedojrzałych i skoszlawionych wielkości na scenie, którym przewrócono w głowach i rozdmuchano tylko fałszywe ambicje, a nie rozwinięto zdolności, najczęściej zmanierowanych.

Dla materyału, jaki już w praktycznym zawodzie służy dziś Melpomenie, przydałaby się szkoła, aby uratowała co lepsze talenta od wypaczenia się lub skłócenia zupełnego. W braku dobrego artystycznego kierunku na scenie, w braku organizacji umożliwiającej rozwój i kierownictwo młodego pokolenia, z konieczności traktowanego za dojrzałe, szkoła dramatyczna wiele dobrego i pożytecznego mogłaby zrobić, ale niech ją stworzy i podtrzymuje Dyrekcja Teatrów, która ma w schowaniu cały plan i projekt takiej szkoły, a Bóg raczy wiedzieć, czemu się z jego wykonaniem ociąga.



# KTÓŚ

## POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

przez

J. I. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg).

W blizkim związku ze sceną stoi sprawa konkursu dramatycznego, który pomimo zachęających warunków nie powołał do współzawodnictwa wybitniejszych talentów, skoro na 43 nadesłane utwory dwa tylko ubiegać się mogły zdaniem sędziów o nagrodę, i to drugą, bo pierwszej w sumie 500 rs. nie było nawet komu przyznać. Komitet uwieńczył trzyaktowy dramat wierszem, znanego poety Felicyana Faleńskiego, p. t. „Florynda”, oceniając wysokie poetyckie zalety tego dzieła i jego literacką wartość.

Pod względem scenicznym wyróżniała się pięcioaktowa sztuka z oryginalnym talentem napisana p. W. Tomaszewicza p. t. „Zapóźno”, ale sędziowie nie mogli jej bez zaprowadzenia pewnych zmian i przeróbek nagrodzić i polecić do grania, a nie śmieli autorowi z góry swojego zdania narzucić. Oprócz uznania nie zyskała ta pierwsza podobno dramatyczna próba p. W. T. żadnej nagrody i komitet uznał, iż „Zapóźno” — ubiegało się zawczasie o zaszczytne prawo pierwszeństwa do sceny.

Pośród miłośników teatru i sztuki dramatycznej powstał projekt ogłoszenia powtórnego konkursu z nagrodą 1000 rs.; w komitecie wszelako nie będą zasiadali autorowie dramatyczni, aby nie krępować doświadczonych talentów w pracy twórczej i konkurencyjnej.

Aby uzupełnić już wszystkie ważniejsze wiadomości ze świata teatralnego, wspomnijmy na końcu o zebraniu artystów, artystek i wogóle wszystkich osób do składu sceny warszawskiej należących, które odbyło się zeszłej Soboty w celu obradowania nad ustawą kassy pożyczkowo-wkładowej.

Instytucja kassy pożyczkowej istnieje już od r. 1881-go i stała się źródłem pomocy i zapomogi dla wielu potrzebujących; w ciągu swego istnienia, dobrze i gorliwie administrowana pod kierunkiem wiceprezesa teatrów p. Bogumiła Folan- da i komitetu z wyborów, zebrała fundusz wcale znaczny, bo około 21.500 rs. wynoszący. Nowa ustawa rozszerza zakres istniejącej instytucji, zamieniając ją zarazem w kasę oszczędnościową przez wkłady 5 procent od pensyi rocznej każdego z uczestników. Bardzo to pożyteczna reforma i na czasie, gdy się zważy, iż sprawa emerytury ugrzęzła bez nadziei wydobycia jej na wierzch najlepszymi nawet chęciami i usiłowaniami. W takiej kassie wkładowo-pożyczkowej będą mogli artyści nasi przygotować sobie jakątąk pomoc na „czarną godzinę” i o własnych siłach zapewnić środki na przyszłość.

Cieżka to dola odnosić się później do wielbicieli sztuki i kołać do wrażliwych, ale zapominających łatwo serce publiczności, gdy starość albo choroba wczorajszego bohatera sceny i ulubieńca powali z nóg.

Doświadczyło tego losu już wielu, i wielu jeszcze, niestety, doświadczyć go będzie musiało.

Wspominaliśmy swego czasu o staraniach w celu zabezpieczenia wdowie i chorowitej córce s. p. Moniuszki jakiegokolwiek renty dożywotniej. Koncert urządzony przed kilku tygodniami przyniósł około 1,600 rs., znalazło się kilku szlachetnych ofiarodawców, którzy przyrzekli rocznymi datkami stale pomnażać procent od zebranego funduszu, znajdzie się zapewne i więcej takich; ale za nim dobra wola swoje uczyni, grono artystów malarzy z inicjatywy chlubnie znanego portrecisty L. Horowitza, urządzi wystawę szkiców na powyższy cel. Szkice będą później rozsprzedane przez publiczną licytację, a dochód włączony do funduszu, którym opiekować się mają pp. Bogumił Foland, prof. Bonifacy Dziadulewicz i Kazimierz Zalewski, redaktor „Wieku”.

Tylko procenta od kapitału pójdą na wsparcie rodziny Moniuszki.

Złudzeniom nie poddawał się żadnym, nie spodziewał się niczego.

Z drugiej strony panna Michalina z równem zajęciem przypatrywała się, badała — usiłowała odgadnąć tego człowieka, który się jej wydawał wyższym z wielu względów od otaczających ją.

Mogła z nim mówić o wszystkim; rozumiał ją zawsze, odgadywał — myśli ich harmonizowały z sobą.

Ta była różnica w ich zapatrywaniu się na świat, że ona cieszyła się tem, co miała; on był nieuleczonym smutkiem przejęty, który mimowoli się zdradzał.

Domyślała się jakiejs tragedii w jego losie — czegoś co chciał zapomnieć. Litowała się nad nim, chociaż dźwigał heroicznie swe brzemie, nigdy się nie uskarżając na nie.

Wieczory u babuni — zgromadzały kółko bardzo niewielkie. Warunkiem dopuszczenia do nich było: przynosić na nie trochę wesołości przyzwoitej — umiejętności prowadzenia rozmowy i słuchania jej; wreszcie nie mówić zbyt głośno i trzymać się zawsze na wodzy.

Znany z dowcipu stary professor-malarz, przez długi pobyt w Rzymie, pół-Włoch, który lepiej mówił o sztuce, niż malował, dwie podżyłe damy ze sfer wyższych, naostatek Horpiński, przypuszczeni byli do małego saloniku.

Ciepły, zaciszny, dosyć posępny, niewiele też więcej osób mógłby być wygodnie pomieścić. Chodziło się tu pocichu, na palcach; mówiło się półgłosem.

Na kanapce, umyślnie na to zbudowanej, poduszkami obstawiona, z nogami w koldry poobwijanymi, leżała nawpół, wpół siedziała, stara kasztelanowa, z pończoszką w rękę, którą nieustannie ktoś musiał brać do korekty.

Piękna, blada jej twarz, łagodnego wyrazu, ciągle się zwracała ku gościom, a oczy i uszy usiłowały pochwylić, co się wkoło działo — bo wszystko ją zajmowało jeszcze.

Zwykle Misia albo pani Zawierska siadała najbliżej, aby w potrzebie niedosłyszanego coś wytłómaczyć.

Na stoliku przyćmiona lampa musiała cały salonik oświecać — bo wielkiego światła nie znosiły osłabione oczy.

Zasiadano dokoła, a gdy babunia zażądała kogoś mieć bliżej, robiono mu miejsce. Każdy coś przynosił z sobą: opowiadanie jakieś, wiadomość z dziennika, postrzeżenie, plotkę niewinną. Niekiedy czytano coś niedługiego, bo staruszka interessowała się literaturą. Znała dobrze dawniej Niemcewicza i wielu innych poetów, Karpińskiego umiała coś na pamięć. Książnica smutnego końca nie mogła dosyć opłakać.

Niekiedy sama ona coś ze swych wspomnień wydobywała. Ale ile razy się to trafiało, znając do starości, iż się ona powtarzać lubi, kasztelanowa naprzód troskliwie dopytywała: czy już nie opowiadała dawniej?... Bała się znudzić. Był to rodzaj kokieterii umysłowej, aby się nie wydawać starą.

Choć ton i nastrój rozmowy był tu zawsze poważnym, nie przechodził jednak nigdy w smutny; uśmiechano się chętnie.

Wieczór z herbatą, którą roznoszono, podając ją na małych stoliczkach, zaczynał się wcześniej niż zwykle w mieście, ale też kończył przed dziesiątą, bo babunia miała jeszcze do odmawiania pacierze i potrzebowała zasnąć przed północą.

Kasztelanowej wprowadzony tu p. Horpiński podobał się niezmiernie. Znalazła go dystyn-  
 wanym, a po kilkakrotnej z nim rozmowie przyznała Misi, śmiejąc się, że była w nim rozko-  
 chana.

Starano się, wiedząc, że babunia polubiła Sylwana, miewać go jaknajczęściej. Nie siadywał jednak ciągle przy babci i panna Michalina mogła z nim długie prowadzić rozmowy.

Sylwan, niegdyś, po ukończonym wychowaniu, podróżował wiele; był zakochany we Włoszech, nabrał smaku do sztuki, zwiedzał potem prawie wszystkie galerie europejskie — treści więc do rozpraw nie brakło.

A że sztuka związana jest nierozzerwanym węzłem z życiem — mówiło się wogóle i o życiu wiele.

— Spędzasz pan całe lato w mieście? — zagadnęła go jednego wieczora p. Michalina.

— Nawykłem do tego — rzekł Sylwan — robię czasem małe wycieczki, ale nakrótka.

— Ja rozumiem, że podróże czasem są potrzebą — odezwała się Zawierska — człowiek potem dom swój lepiej ceni, kocha go więcej.

— Ja nie mam domu — szepnął Horpiński.

— Mógłbyś go pan sobie stworzyć — mówiła dalej p. Michalina — przywyka się do wsi łatwo.

Horpiński nic nie odpowiedział.

— W której stronie kraju żyła pańska rodzina? — śmiejąc wtrąciła pytająca.

Sylwan podniósł głowę, pomyślał, czoło mu się zachmurzyło.

— Nie mam rodziny — rzekł krótko — i tak, jakby się o tem więcej nie chciał rozszerzać.

— Nikogo! — mimowolnie wyrwało się Misi.

Milczeniem odpowiedział Horpiński.

Panna Zawierska natychmiast zmieniła rozmowę, zrozumiawszy, iż przykrą być mogła dla Horpińskiego.

W chwilę potem nie było widać po Sylwanie, że został podrażnionym boleśnie; lecz wyraz twarzy, krótkotrwały, który nie uszedł baczności Misi, nauczył ją, że nigdy więcej przedmiotu tego dotykać nie była powinna.

Starą się tegoż wieczora wynagrodzić swą niezręcznością Horpińskiemu uprzejmością wielką i okazaniem mu współczuciem.

Gdy się wszyscy porozchodzili, a przy babci została tylko Misia, aby dopilnować przenosin jej do łóżka, staruszka dała jej znak, pochyliła się do ucha i grożąc palcem — szepnęła:

— Moja Misiu — ostrożnie! Biednego tego filozofa gotowaś zbalaamucić i rozkochać. Jak on cię pożera oczyma.

Zarumieniła się Michalina.

— A! babciu — odparła śmiejąc się — nie jest to płochy młodzik.

— Tem gorzej — dokończyła staruszka — bo więcej cierpieć będzie. Już to prawda, że do ciebie się zbliżyć a nie rozkochać w tobie — nie podobna — ty, moja czarowniczo droga.

I pocałowała ją w czoło.

— Ale i ty moje serce, bardzo mile na niego spoglądasz! Ej! ej!

Michalina usiadła przy babce.

— Będę szczerą — odezwała się do niej. — Nie taję tego, że ze wszystkich mężczyzn, jakich bliżej poznać mogłam, ten Horpiński pewnie mi się najlepiej podobał. Ale — nie zakocham się w nim, bo ja się nie mogę w nikim zakochać. Taka już natura moja.

Staruszka głową potrząsnęła.

— Nie ufaj zbyttno swej sile — rzekła. — Człowiek, bezwzględnie, bardzo miły, ale partya nie dla ciebie.

Spojrzała pytająco Michalina, nie nie mówiąc.

— Tak, moja duszko — mówiła dalej babcia — sama mi to powiedziałaś, że jest jakimś sierotą



bez rodziny, no—i bez nazwiska. Nie możesz być panią Horpińską.

— I nie myślę też nią być — dokończyła, wstając Misia—tak jak on nie myśli pewnie o mnie. Chciałabym tylko, doprawdy, głębiej sięgnąć w to jego tajemnicą osłonięte życie, które on okrywa tak starannie.

Co też na niego i o nim wymyślają!

Dnia tego rozmowa nie poszła dalej.

Sylwan pozostał w mieście.

Wiadomy wyjazd Paczuskiego na wieś domatki, czynił go całkiem swobodnym, bo się już nieznośnego śledzenia nie miał co obawiać; ale towarzystwo Michaliny ciągnęło go i trzymało tu przykutym.

Wyrzucał sobie tę słabość: opuścić jej nie mógł.

Pani Zawierska, troskliwa o córkę, starała się ją czemś rozerwać. Urządzano więc wycieczki w okolice, do których i Horpiński z professorem starszkiem był używany.

Misia nie jeździła konno — znajdowała to nieśtosowne dla kobiety—ale lubiła naturę, lasy, miała namietność krajobrazów, studyowała je z rozkoszą.

Parę więc powozów brano zwykle na cały dzień, wyjeżdżając za miasto — a Michalina z artystą pół-Włochem usuwała się na stronę, aby niepostrzeżona mogła szkicować widoki, które potem przenosiła na płótno. Powracała z tych wycieczek bardzo ożywioną i szczęśliwą.

Sylwan też zapominał się przy niej, rozweselał się i odmładzał. Rysował on także, ale się do tego nie przyznawał.

Przy Michalinie wychodził z normalnego swego stanu, w którym od młodości, poznawszy rzeczywiste położenie swoje, trwał ciągle. Wpływ matki, widok tego, co go okalało, wyrabiały w nim nienawiść dla ludzi, urządzeń społecznych—pojęć, które panowały i powszechnie były przyjęte. Skazany na wiekuiste wydziedziczenie i sieroctwo, choć napozór znosił je cierpliwie, w głębi duszy jednak miał nienasyconą chęć zemsty nad tymi uprzywilejowanymi, których sądził szczęśliwszymi od siebie.

Doznawał jakiegś przyjemności niezdrowej, gdy się komu z nich pośliznęła noga, gdy kto padł lub, bliskim będąc celu, został w nadziejach zawieszonym.

Prześladowanie Paczuskiego, acz nieprzyjemne, było mu niemal pożądanem, bo pozwalało z czystiejszym sumieniem żądać i szukać odwetu.

Taksamo widok innych powodzeń burzył go, niecierpiał. Dlaczego inni mieli być od niego szczęśliwsi? tego nie rozumiał. Jeżeli mógł temu przeszkodzić, zdawało mu się, że spełniał posłannictwo Opatrzności, obowiązkiem—że w ten sposób równał ludzkie przeznaczenia.

— Za cóż ja mam być skazanym, gdy jestem niewinny?—mówił w sobie.

Uporny i grzeczny w towarzystwie, usłużny chętnie, miał sławę człowieka czynnego i dobrego; ale wstocie był takim tylko w powszedniego życia pomniejszych wypadkach: w głębi duszy nosił niechęć, żal i gorycz, które się objawiały przy danej sposobności.

Jedynie towarzystwo Michaliny leczyło go z tej choroby—nienawiści szczęśliwszych.

Ale nawet w rozmowach z nią gorycz się ta przebiwała — i Michalina musiała z nią walczyć. Pochwycony na mizantropii, Sylwan milczał. Panna Zawierska, poznawszy w nim to usposobienie, powolnie starała się go uleczyć z niego.

— Pan musiałeś wiele złego doznać od ludzi—spytała go raz—gdy tak wogóle o nich masz nie dobre wyobrażenia i zamało miłości ku nim?

— Ja osobiście skarżyć się na nich nie mogę—mówił Sylwan—trzymam się zdaleka od zgiełku, od tłumu, i nie mieszam się między czynnych: jestem widzem. Ale dosyć wejrzenia na ten świat, ażeby się zniechęcić ku całemu plemieniu ludzkiemu.

— Mnie się zdaje, że zamiast zniechęcenia należałoby mieć dla niego litość, współczucie i pracować na to, aby je poprawić i uszlachetnić.

Mnóstwo fałszywych pojęć chodzi po świecie, które potężnie wpływają na postępowanie: należy je prostować i wykorzeniać.

— Pani sądzisz, że to jest możliwem?!—pytał

Sylwan szydersko.—Ja myślę, że to praca stracona: ludzie będą zawsze, jakimi byli. Wyjątki się znajdują lepsze: ogół zostanie pogardą godnym.

Misia nie dawała mu tego mówić—protestowała żywo. Wśród najgorętszych rozpraw Horpiński przerywał je milczeniem; ustępował jej, ale nie nie dowodziło, ażeby był przekonany. Tak upływały tygodnie i miesiące letnie; zbliżała się jesień.

Przez ten czas Horpiński, nieodstępny, częsty gość w domu Zawierskich, uzyskał u nich zaufanie, chociaż Misia nie mogła mu zgorzknienia darować—i niechęci ku ludziom.

Przy niej i dla niej był on innym.

W obrazach życia, malowanych z fantazyi, nie z natury, trafia się najczęściej spotkać miłość występującą jak *Deus ex machina*, od pierwszego wejrzenia zapalającą się, gwałtowną — piorunującą.

Wprawdzie nie można zaprzeczyć, iż i ten fenomen trafia się w rzeczywistości, ale jest daleko mniej pospolitym, niż — w poezyi i romansach.

Miłość rodząca się zwolna, obcowaniem, poznaniem bliższem krzepiąca się, daleko więcej na to imię zasługuje.

(Dalszy ciąg nastąpi).

## SAMOUCTWO.

### II

Teorya literatury.—Psychologia i estetyka, jako nauki pomocnicze.

(Dokończenie).

„Z książki Cegielskiego radziłbym początkującemu odczytać § 10 „O podziale sztuki według materiału“ (str. XXIII i XXIV). Następnie „Wiersz“ (od str. XXV). Tensam temat traktuje Małecki w swojej gramatyce, a jeżeli to byłoby za obszernie, to wypadnie poprzestać na uwagach o wierszu w „Estetyce poezyi“ Dra Ziemby. Zwróć tu jeszcze uwagę pragnących dokładnie poznać budowę wiersza polskiego na gruntowną rozprawę Ludwika Jenikego pod t.: „O rytmicznosci języka polskiego.“ Warszawa, 1865 r. Od str. LXIV w Cegielskim „Podział poezyi“ radziłbym przestudyować, odczytując starannie przytoczone przykłady po przeczytaniu o każdym z osobna rodzaju poezyi. Mam nadzieję, że odczytywanie przykładów rozjaśni teorię, a nawet przypuszczam, że więcej nabierze się wyobrażenia o różnicach między rodzajami poezyi z odczytywania przykładów, niż z teorii.

Radziłbym przy odczytywaniu tych książek trzymać się tejsamej zasady, o jakiej mówiłem z powodu układu prozaiki Rymarkiewicza.

Kto odczyta powyższe uwagi, zarzut mi niezawodnie postawi, że starannie unikałem przy wykazywaniu, co czytać należy z rozbieranych książek, owych ogólnych pojęć o sztuce, czem ona jest, jakie jej są ogólne zasady i t. d. Zarzut ten uważałbym za słuszny wtedy, gdybym wierzył, że po odczytaniu rozdziałów, które pomijałem, dojdzie się do jasnych odpowiedzi na te pytania. Zresztą, wszak powiedziałem i to, że jeżeliby kto odczytał wszystko a zrozumiał, nie mam przeciwko temu; chodziło mi tylko o to, żeby uchronić mojego czytelnika od próżnych mozolów. Rozumiem jednak, że to, co wskazałem, nie wystarcza, że trzeba czegoś więcej: i o takim też dopełnieniu mówię teraz zamierzam.

Przedewszystkiem sądzę, że chcąc teoryę literatury, język krytyki, rozumieć, nie podobna się obejść bez znajomości, choćby najelementarniejszych zasad psychologii. Jak tu czytać o rozlicznych uczuciach, objawach woli, charakterach i t. p. nie mając zasadniczych podstaw psychologii! Czytając podobne rzeczy, niby zawsze coś się wie; ale jak się to niejasno w umyśle odbija, jak to często jedno za drugie się bierze! Kto ma nauczyciela, ten się zwierzy z wątpliwościami, zresztą dobry pedagog sam odgadnie, co wypadła odpowiedzieć; ale samouk — co zrobi?

Dlatego też radziłbym, aby przygotowujący się do kształcenia w literaturze—koniecznie przestudyował jaki podręcznik psychologii. Niechby był chociaż taki, jak D-ra Jana Crigera „Zarys Psychologii“, przekład Zygmunta Sawczyńskiego, albo „Psychologia“ napisana przez D-ra Teofila Ziembę. Być może, iż podręczniki te znajdują wiele zarzutów, ale zawsze rozjaśniają wiele w umyśle, temu, który o psychologii nie wie, a wiedzieć potrzebuje.

Drugą rzeczą, która wiele tu pomoże, — jest obznajomienie się z zasadami estetyki.

Często słyszeć się daje, że nauki te, a szczególnie estetyka, są próżnym balastem, czy popisywym przedmiotem w średnim wykształceniu. Ci sami, którzy te opinie wygłaszają, domagają się przecież, aby średnie wykształcenie dawało podstawę na przyszłość do rozumienia literatury, nawet do poznawania się na poezyi, jako sztuce. Ale jak dojdzie do tego bez znajomości psychologii i estetyki? Odpowiadają na to, że coś ogólnie wypada uczyć się o tych naukach powiedzieć jeszcze w klasie IV-tej przy nauce o stylu, retoryce, petyce. Zadanie to chyba zbyt trudne, przechodzące siły umysłowe młodzieży w klasie IV-tej; czas na to zbyt ograniczony.

Dlatego też usiłowania podobne wychodzą najczęściej na marne. Jeszcze z zasadami psychologicznymi może w klassach wyższych łatwiej sobie radzą, boć one przynajmniej okazów innych nie potrzebują, prócz zastanawiania się nad istotą ludzką, a rozbiory dzieł literatury bogaty przedmiot do tego podają. Ale z estetyką rzecz trudniejsza, a trudniejsza dlatego, że nie podobna prawie dobitnie na poezyi wykazać wszystkich zasad piękna. Zdaje się tylko komuś, że np. jeżeli powiedział przy rozbiory poematu: to jest plastyczne, jaka tu harmonia, jaka tu subtelna a konsekwentna budowa poematu, jaki tu świetny koloryt, co za wzniosłość, jaka równowaga, i t. p., — iż rzeczywiście te pojęcia utrwalił w umysłach słuchaczy. Jest to chyba złudzeniem. Wszak ten słownik zapożyczony jest po większej części z obserwacji poczynionych nad dziełami sztuk innych lub zjawisk natury: ztąd więc te cechy, które w pewnych sztukach wyraziście się wywydatniają—u źródła swego najkorzystniej będzie wykazywać. Dlatego też, do pewnego stopnia przynajmniej, wyrobią się te pojęcia w tym, z kim zastanawiamy się kategorycznie nad pięknem w naturze i w różnych sztukach: w muzyce, architekturze, rzeźbiarstwie, malarstwie.—Kto przy instrumencie muzycznym mówi o harmonii tonów i jednocześnie to demonstruje; kto przy wykładzie o architekturze na rysunku pokaże wszystkie szczegóły budowy, znaczenie jej całego układu, jej równowagi; przy malarstwie wskaże na koloryt; przy rozglądaniu się w zjawiskach natury wspomni o uczuciach wynikających na widok wyniosłych gór, wzburzonego oceanu; przy rzeźbie wreszcie poda jej różnicę od innych sztuk pod względem plastyki: ten chyba czegoś nauczy, boć uczy *poglądowo*, a to w każdej nauce najważniejsze. Bez wątpienia są znowu objawy, których nie lepiej nie przedstawia, niż sama istota człowieka w poezyi. Dlatego też sądzę, że, zamiast bawić się w mgliste ogólniki przy wykładzie poezyi, daleko korzystniej będzie, aby je pominąć, lub też poświęcić temu przedmiotowi więcej czasu i wyłożyć lub przestudyować estetykę. Po takim przestudyowaniu dopiero, jeśli ktoś zwróci się ku ogólnym czy szczególnym zasadom poezyi—wierzę, iż z pożytkiem je odczyta.

Zpomiedzy książek traktujących w naszym piśmiennictwie zasady estetyki najlepszą dla celów naszych wydaje mi się „Estetyka“ Lemkego, przełożona przez B. Zawadzkiego. Ktoby ją przestudyował, usposobiłby się nietylko do przedmiotu, o którym mówimy, ale i do rozumienia innych większych dzieł poświęconych umiunktu pięknemu—mówiąc językiem Libelta.

Radziłbym tylko czytającym, aby nie zapominali o tem, co wyżej wyrzekłem o sposobach czytania podobnie ułożonych książek. Dla dokładności nawet postaram się zaznaczyć, co przedewszystkiem radziłbym czytać. Radziłbym zatem, żeby albo opuścić w rozdziale pierwszym, pierwszy i drugi paragraf, a zacząć dopiero od



trzeciego, albo czytać od początku, nie zrażając się niejasnością, w nadziei, że się przy powtórnym czytaniu dzieła wiele przynajmniej rzeczy rozjaśni. W rozdziale drugim — prawie wszystko jest bardzo przystępne dla każdego. W rozdziale III znowu paragrafy pierwszy i drugi są natury abstrakcyjnej, ale zato później następują rzeczy konkretniejsze, więc dostępnejsze. Książka ta kończy się rozbiorem poezji. Kto sumiennie przestudował rzecz o innych sztukach z łatwością chyba a wielką przyjemnością czytać będzie uwagi nad poezją: rozświetli mu się wiele wątpliwości, i chociaż nie będzie mógł zapewne utrzymywać, że wie wszystko, — będzie mógł przecież powiedzieć sobie, że wie wiele, i że często ludzie, i to bardzo wykształceni, więcej nie wiedzą.

Muszę się tu jeszcze wytłumaczyć: dlaczego mówiłem o poetykach poprzednio, gdy miałem zalecać estetykę, która traktuje także o poezji. Zrobiłem to dlatego, że nie każdy może mieć będzie czas i sposobność do pracy nad estetyką, a każdy przecież zechce czytać poemata. Otóż, jeżeli stronę ich estetyczną niezawodnie lepiej odczuje, gdy estetykę przestuduje, to przecież nie sądzę, aby bez tych studiów nie miał odnieść korzyści pewnych z czytania utworów poetyckich. Każdemu zaś z czytających poemata pewna wiadomość o wierszu, rodzajach poezji pomoże, a taką wiadomość z poetyk, o których mówiłem, wyniesie.

Tu jeszcze jedną uwagę czuję się w obowiązku uczynić, mianowicie tę, że chociaż lepiej-by rozumiał dzieła literatury, monografie o nich, podręcznik krytyczny—każdy ten, ktoby wprzód te wszystkie nad teoryami studia odbył, to jednak, gdyby ktoś dla braku czasu, lub innych okoliczności nie mógł ich odbyć, nie sądzę, aby nie miał pożytku w pracy nad literaturą, gdyby jednocześnie nawet czytał i dzieła, monografie lub historią literatury i pracował nad owymi przygotowywanymi naukami. Radziłbym tylko, aby książki, o których mówiłem, miał pod ręką i w razie, gdyby nie rozumiał, o jakim rodzaju literatury mowa, np. co to jest epigramat, tragedia, klechda i t. p., czy też, co to patetyczność, komiczność i t. p., albo np. charakter — aby do książek tych po objaśnienie się udawał. Dodam tu jeszcze jedną uwagę, mianowicie: ponieważ przy takich samodzielnych studiach, mimo wszelkich ostrożności, muszą się tu i owdzie okazać dla umysłu niejasne ustępy, to radziłbym, zapisywać je skrętnie, i albo zapytywać o wyjaśnienie osób kompetentnych, albo szukać wyjaśnień w specjalnych dziełach. Podobnie radziłbym zawsze z piórem w ręku pracować nad rzeczami, które się rozumie, i zapisywać ich treść. W ten sposób daleko łatwiej będzie pamiętać, cośmy czytali, a zarazem kontrolować przy dalszej pracy: czy rzeczywiście dobrze zrozumieliśmy to, cośmy czytali?

Floryan Jagowski.

## KRÓL AGIS

DRAMAT HISTORYCZNY W 3-ich AKTACH

JULIUSZA SŁOWACKIEGO

Ze zbiorów rękopiśmiennych Biblioteki Ossolińskich

podał

Henryk Biegeleisen.

### \*AKT III.

(Dalszy ciąg).

#### \*SCENA III.

\*Kleomenes

Obie staruszki pobiegły...

A tam w ogrodzie jakieś widma białe...

Pod cieniem cytryny oczy się nie strzegły,  
I przeciw domu świętym tajemnicom

Wielki grzech teraz popełniwszy, leczę. 1)  
Widzą—na słońce patrzą—słońcem świecą,  
Tak zwaryowane, jakby trzem księżycem,  
Albo Najadom się przypatrywały,  
Albo podeszły jasne Oceaniki  
W kąpiel. Jakiż mi Bóg te krużganki  
Otworzył? Kwiatek ten w murawach biały,  
Gwiazdami niby jej nogi podściela—  
Z wrzeczona tęcza się ognista leje,  
Z tych oberwanych róż, z listków—zawieje.  
Z niej ogień, ze mnie—drżąca wryta skała.  
Nie wiem co czynię! Ha! Sferus!

\*Sferus

Kleomen—

W Agisa domu?

\*Kleomenes

Matka mię przysłała....

\*Sferus

Słuchaj, młodzieńcze! jest to wielki omen,  
Twoja przytomność tu i twego ciała,  
Niby ogniste teraz rozwinięcie  
W godzinie, gdy duch z Agisa wychodzi.

\*Kleomenes

Chodźmy ztąd—prawda—to mi się nie godzi  
W takiej godzinie; ale wniebowzięcie  
Ducha mojego jakąś drugą siłą,  
Czuję, że właśnie teraz się odbyło.

\*Sferus

Wiedziałem dawno, ja znał Borystenu 2)  
Myślący człowiek, że twój duch w ohydzie  
Żyjący, na to rozjaśnienie przyjdzie,  
Wzrośnie lub z Boga, albo też z hymenu.

\*Chorus

Strasza duchów robotą,  
Zakryta półciemnością,  
Śmierć związałaś z miłością,  
Afrodyte i Kloto,  
By czas przyszedł i 3) przeszedł.  
Jak na tęczy się zeszedł...  
A czas pod nimi płynie,  
O! smętna miłość w takiej poczęta godzinie!  
Lecz o czym, o czym duch swój smętny marzy 4)  
Oto jest w bramie garsteczka zbrodniarzy,  
Lecz jak podobny jest żydów tłumowi,  
Którzy Chrystusa do Piłata wlekli,  
Ów tłum, który tu strach przenika mrowi,  
Wlecz Agisa—biczami go siekli—  
Nad inne wzroki, 5) wzrok koci i sowi  
Mają ci zdrajce, który się oblekli  
W zgangrenowaną zieloność zgryzoty,  
A włosy mają by cierniowe płoty.

Tak okropnego dojrzawszy 6) orszaku,  
I takiej garści przeleknionych katów,  
Bez krzyżowego chociaż idą znaku,  
Choć nie włożyli na jeńca szkarłatów, 7)  
Każdy je pozna, że są duchy braku,  
Z tychsamych ciemnych wyrzucone światów,  
Które na świata aniołowe 8) losy  
Niepomne, wiodą 9), na krzyż lub na stosy,  
Bijące serca 10).

- 1) „widzę, ach!“
- 2) „wiedziałem długo, Borysteńczyk“.
- 3) „Niech młody—sen....“
- 4) Między wierszami:

\*Demades

„Cóż rzekł przed krwawym sądem postawiony?“  
„Śmiał się z Eforów“.

- 5) „I zdrajce bieli. równi“.
- 6) „Zbrodniarzy“.
- 7) „Choć ślad ich nie jest z kroplistych szkarłatów“.
- 8) „na świata aniołowe“.
- 9) „Oporni, krzyże“.
- 10) Następuje przekroślony ustęp:

\*Agezylausz

Agisie, upamiętaj się a wyznaj, żeś sam winien całej zawieru-

#### \*SCENA IV.

\*Efor

Nie chodźmy tam, abyśmy nie byli splamieni,  
Trupa się dotykając i tych ścian okropnych,  
Krwią poplamionych. Niechaj exekutorowie  
Wchodzą sami z tym oto nieszczęsnym czoł-  
[wiekiem.

Macie powrozy? Czyście obejrzelili haki?

Kat

Jest wszystko.

Efor

Idź, Agisie, i oddaj się w ręce  
Exekutorów prawa.

\*Agis

Kościół ten poświęcę,  
Oczyrna wleję słońce w te ciemne marmury.  
Jak błyskawica, będzie ten fronton ponury,  
Fronton 11) owiany na pół tą srebrną topolą.  
Czasem zeń grzmot wyleci, jakgdyby Apollo  
Tratował po brązowych dachu tego blachach.  
Wtenczas, gdy Sparta będzie w jękach i prze-  
[strachach,  
Gdy wyschną od przestrachu kobiet waszych  
[łona,  
Gdy u bram zarży wściekły rumak Antygona,  
Gdy tu nad skały 12), niby nad całą krainą,  
Wgrom z macedońskich przyłbic węże się roz-  
[winą,  
A piekło wam zawoni, w siarczany zapachu—  
Przyjdzie po mego ducha do kościoła strachu:  
Dam go z uśmiechem Boga.

Efor

Prawom się sprzeciwia: 13)  
A z tego się przed ludem nie usprawiedliwia,  
Że o mało praw naszych z gruntu nie wywró-  
[cił 14).

\*Agis

Dajcie pokój! jam ducha w duchy wasze wrzucił  
A wy chcecie mię z siebie wyrzucić językiem!  
Dajcie pokój! Baranek 15) jestem pod rzeźni-  
[kiem...  
Wiecie, że nie czyniłem wam, ludzie, nic złego.

Efor

Oto Agezylausz! Przed własnym kolegą  
Tłómacz się: czy z Lyzandra toś czynił 16) na-  
[mowy?

\*Agis

Co płacę głową, wszystko wyszło z mojej głowy,  
A coś też Likurg, prawnik mi podszeptał stary....  
Ale go nie pójdzicie szukać między mary,  
A on też tu nie przyjdzie przed sąd z dobrej  
[woli 17).

Efor

Przynajmniej żal oświadczaj.

\*Agis

Serce mię nie boli:

chy, która o mało-co nie zabiła Sparty. Sam przez tego czło-  
wieka byłem uwiedziony.—Co chcesz? Opętał mię starego, a u-  
miał opętać. Niebezpieczny to człowiek.

\*Agis

Skądże ty się pokazał, staruszkę mój....

- 11) „Czasem“.
- 12) „nad tą“.
- 13) „Kraj zawichrzył cały“.
- 14) „nie zrujnował“.
- 15) „Oprawcy nieśmiertelni“.
- 16) „z Lyzandra toś był....“
- 17) „dobrowolnie“.



Owszem, oprócz przyjaciół mych niewiernych  
[zdrady, 18)  
Wszystko mię uwesela.

**Efory**

Precz z nim do Dehady!

**\*Chorus**

Strach! strach! — wołajmy ducha i Chrystusa  
[Pana 19)!  
Strach! krew błysnęła! izba ta straszną na-  
[zwana.

**Efory**

Odchodźmy ztąd!

**\*Chorus**

Spojrzeni w groźące obłoki  
I strach je zjął.

**Efory (do Arcezylausza)**

Wykonasz te oba wyroki?

**\*Arcezylausz**

Ja?....

**Efory**

Masz być tych wyroków obu wykonawcą!  
(*Odchodzą*).

(Dokończenie nastąpi)

## NOWINY PARYZKIE

Paryż d. 31 Marca 1884 r.

Śmierć Migneta, członka Akademii Francuskiej. — Szczegóły biograficzne. — Człowiek i pisma jego. — Wspomnienie o Miche-  
lecie z powodu książki: *Moja młodość* — Przyszła dorocznica Wy-  
stawa Sztuk Pięknych w Paryżu. — Matejko i jego „Held pruski”.  
Niespodziewane przeszkody — *Sic vos non vobis*. — Sprawa finan-  
sowo-literacka. — „Daniszewy”. — Rewindykacja p. de Corvin’a. —  
Proces z Dumasem i wyrok sądowy. — Nowa książka: *Bractwo*  
*mistyczne* Sidi-Mohammeda-Ben-Alego. — Ciekawe szczegóły  
o tem bractwie. — Stowarzyszenia religijno-polityczne u Arabów.

(Dokończenie)

Za miesiąc, jak to zwykle powtarza się co rok, będziemy mieli wystawę sztuk pięknych. Otóż, na tegoroczną wystawę, miał przybyć gość drogi, a dawno już tu nie widziany — obraz naszego mistrza krakowskiego Matejki. Wiadomość ta ucieszyła wszystkich rodaków, a zatem przyjaciół i wielbicieli Matejki. Obraz zresztą był dla nas ciekawy, nawet jako przedmiot: *Held Pruski*, — i w Paryżu!...

Marzyliśmy niesłychane powodzenie — marzyliśmy, że teraz dopiero będzie czem nakarmić ducha i serce. Już nam mówiono, że obraz piękny; któżby wątpił o tem, że wielkie zalety kompozycji i wykonania dają mu wydatne stanowisko w rzędzie najznakomitszych dzieł mistrza?

Co tu powiedzieć!... Matejko, jako premiowany artysta, jako Członek Instytutu, jest — jak tu powiadają: *hors concours* — to jest, że każde jego dzieło, jest przyjęte na wystawę — bez żadnej innej formalności, nad proste zawiadomienie dyrekcyi wystawy. O przyjęciu więc i umieszczeniu w *Pałacu Przemysłu* nie było żadnej wątpliwości; chodziło, o to: jakie obraz zrobi wrażenie na publiczności tutejszej.

Nakoniec, kilkanaście dni temu, powiadają nam, że ogromna paka, zawierająca obraz Matejki, przyszła do Paryża, z wielkim kosztem przewozu, i z wielkimi trudnościami ekspedycyi

Przyznam się, że co do mnie, jestem człowiek przesądny — kosztą jakby nie były znaczne, rozumiem — bo rozmiary obrazu są wielkie... ale *trudności ekspedycyi*. Trudności — i cóż mogą być za trudności?... w dzisiejszym stanie żelaznych kolei i machin!... szczególnie, kiedy się dobrze płaci, ale mniejsza o to — obraz przyszedł; jest, a więc rzecz skończona.

Kilka dni temu odbieram telegram: „Obrazu Matejki, nie chcą przyjąć na wystawę, bo ramy za szerokie”. Oślupiałem — czytam i syllabizuję, myślę, że mi się coś w oczach miesza... Nareszcie, trzeba uleść prawdzie. Tak jest — ależ?... szerokie ramy?... są szersze i większe — miejsca nie braknie. Jest więc coś innego nad te szerokie ramy — to jest oczywisty pretext... ale dlaczego? A! trzeba znać ludzi tutejszych... Nie ma zuchwalszych i śmielszych; lecz kiedy znowu szala się przechylili, kiedy zaczęli rafinować i szukać wybiegów — to przechodzi wszelkie pojęcie!... W obawie zatem, że to może kogoś zaboli, że to może być powodem jakiegoś kwasu... niedawno w imieniu cesarza Wilhelma, posłano uprzejmie i grzecznie, dwa obrzynie wazony sewerskie — i dobrze zrobiono! Wiązanie było przyjęte radośnie. Effekt więc był otrzymany — a jeśli ten obraz Matejki zniweczy to piękne wrażenie?... A więc z obawy — ramy okazały się za szerokie, w przestraszonych oczach dyrekcyi... *Strach ma wielkie oczy*.

Spodziewam się jeszcze, że się to da przerobić! Strach choć ma wielkie oczy, przemienie — bo, doprawdy, byłoby to haniebne i bezprzykładne! W cóż-by się obróciły nasze nadzieje i marzenia? Miejmy więc otuchę w sercu — że się to zmieni — że będziemy mogli, nacieszyć serce i oczy — bo to i mistrz nam miły i drogi — i obraz piękny.

Teraz słów kilka o sprawach zakulisowych. Nie lękajcie się! Rzecz jest, jak mówią Niemcy, bardzo *correct*. Wiem, że jesteśmy w Wielkim Poście — i nie prowadziłbym was na pokuszenie.

Sprawa to jest finansowo-literacka, i ma swoje wagę i powagę ze względu na wyrok sądowy — bo sprawa się wytoczyła do trybunału, i sąd prześwietny zawyrokował — i w tem właśnie jest sęk!

Rzecz chodzi o dziwną rewindykacją niejakiemu p. Korwina, który z rodu powiada, że jest Rossyaninem, będąc z professyi — literatem i pisarzem dramatycznym. Kto wie nawet, czy się rzeczywiście Korwinem nazywa? Tu, w Paryżu, rzeczony Korwin znany jest pod tem nazwiskiem, jako współautor, z Dumasem, sławnych „Daniszewów”: a więc przyjmujemy go w tej formie.

Owóż, ten p. Piotr Korwin w r. 1874 przywiózł tu w swoim tłómaczu dzieło, które go unieśmiertelnić miało. Pierwsze dzieło p. Korwina musiało to być coś naksztalt tego, o czem stare polskie przysłowie powiada: „Pierwsze koty za płoty”. Jak się pokazało z procesu, główny pomysł tej sztuki nie był nawet jego pomysłem: wziął on go z drukowanej powieści jakiegoś pana Ostrowskiego — a sam tytuł dramatu, mógł już przerazić każdego Francuza — nazywało się to: *Od Szawy do Szowy*. Proszę pomiarować tylko: to szypienie, dla nich, co są tak czuli i wrażliwi na samą formę wyrazu!

Kto inny na miejscu p. Korwina zginałby wraz z dramatem, w tem morzu bezdennem wszelkich katastrof i nurków. Ale nasz dramaturg oprócz tej sztuki, miał jeszcze inną w zapasie — miał pannę czy panią *Stellę Collas*, dramatyczną artystkę! Zaczyna ta para była w położeniu krytycznem; bo ta pani, szukając pomocy Dumasa, wyznała mu, że wyszła za pana Korwina, jako za bojara i księcia, naturalnie, bogacza; tymczasem ten ją zrujnował i dziś są bez kawałka chleba. Na jej to prośby Dumas, już trzeci z kolei farbiarz, do którego się udano, zgodził się rozpatrzyć szpargały.

Z tego rozpatrzenia wiecie już co wyszło — Daniszewy!... niesłychane powodzenie!... sztuka, wystawiona w teatrze Odeonu 43 razy przyniosła autorom czystego dochodu 700,000 fr. z tych połowa przeszła w ręce p. Korwina, a zapewne trochę i panny Collasówny... Porosli tém więc

w pierze i zaczęli udawać prawdziwych bojarów, a nawet urosli i w sławę, bo Dumas, szlachetnie i pięknie, spółkę przyjął otwarcie.

Widać jednak, że tak głęboko przyjęli tę rolę bojarów, iż owe 350,000 fr., przychodzące częściami i kapanią, popłynęły gdzieś z wodą do morza, bo po długim milczeniu p. Korwin znowu się ukazał przed Dumasem, ale już w innej postaci — w postaci człowieka, który jak równy z równym sobie traktuje.

Zmuszony zapewne potrzebą i ujęty obietnicami Koninga, dyrektora Teatru Gimnazyum i De la Rounat’a, dyrektora Teatru Odeonu — postanowił oddać sztukę, nie pytając się Dumasa, temu, kto da więcej. A że Dumas przyrzekł ją być już dawniej p. De la Rounat, tem prawem, jakie mu dawała ta pewność, że *pars ejus magna fuit*; gdy p. Korwin, olśniony obietnicami Koninga, oddał sztukę do teatru Gimnazyum, posławszy jedynie wyrazy swojego *żalu*, w liście do pp. Dumas i De la Rounat, że nie może zadość uczynić ich żądaniu: przeto autor francuski dał mu następną odprawę.

„Panie! pomimo całą biegłość W Pana, jest to dziś rzeczą dowiedzioną, że w pierwszej rozmowie z p. De la Rounat dałeś mu W Pan słowne zgodzenie się (na przedstawienie „Daniszewów” w Odeonie), a w drugiej upoważniłeś na piśmie, ku temuż celowi, p. Koninga.

„Wiem teraz, co mam sądzić o jego uczuciach wdzięczności i poświęcenia, i proszę przyjąć wyrazy podobnych — że uczuć, jakie się W Panu należą odemnie.

Alexander Dumas“.

Ztąd proces — adwokacka szermierka i skandal — i najdziwniejsze rozwiązanie sprawy; bo sąd prześwietny, zważywszy, że Korwin zawsze i ciągle pobierał połowę prawa autorskiego, a zatem, że jego współpracownictwo żadnej wątpliwości nie ulega — stanowi, iż „przedstawienie tej sztuki, bez jego zgodzenia się na to, nie może mieć miejsca”. Ale, że sztuka nie może być przedstawioną również bez zezwolenia Alexandra Dumasa: a więc — przedstawioną nie będzie.

Wspomniałem o tem, bo jest w tem punkt ważny, tyczący się własności literackiej. Dotąd sądy tutejsze w tym względzie trzymały się innej procedury. Tak np. co do wynajęcia domu należącego do dwóch właścicieli współników opozycya jednego z nich nie mogła przeszkodzić bynajmniej drugiemu wynajęcia domu, według jego widzimisię. Ostatni wyrok sądu pokazuje, że własność literacka ma surowsze prawo. Jest to następstwo obrony tej własności, podjętej od lat kilku i prowadzonej przez *Towarzystwo literackie międzynarodowe*.

Wskutek tego wyroku dzienniki ogłosiły, ni-by jako epilog sprawy, następny list p. Korwina do Dyrektora Teatru Odeonu, p. De la Rounat:

„Z Paryża 10 Marca 1884 r.

„Panie! Przysłałeś W Pan dziś rano do mnie p. Porela, (współ-dyrektor Odeonu) dla porozumienia się; czyby nie było sposobu otrzymać moje zezwolenie na przedstawienie w Odeonie „Daniszewów“?

„Pozwól mi W Pan powiedzieć sobie, że ten krok pokazuje największy błąd z jego strony, co do mojego charakteru — i co do uczuć, któremi się rządziłem w całej tej sprawie. Dając dziś W Panu żądane upoważnienie, chybiłbym danemu słowu przezemnie p. Koningowi, mojemu własnemu interessowi, ale się myślę, interessowi wspólnego dzieła, a przedewszystkiem szacunkowi. Jaki winienem sprawiedliwości sądów ojczyzny W Pana, pod których opiekę oddałem me prawa.

„Proszę przyjąć i t. d., i t. d.

Piotr de Corvin“.

Taki jest koniec, jak na teraz — ale czy to jest ostatnie słowo? — wątpię; bo potrzeba mleka daje się uczuwać, a krowa tymczasem się nie doi! Czy się w końcu spółka porozumie?... kto wie? Zapewne, że Dumasowi nie pilno, aby „Daniszewów” wyprowadzić na scenę; przecież, kiedy tyle hałasu poruszyło znowu ciekawość publiczną, wyrzekać się dobrowolnie pięknego i pewnego dochodu — byłby to heroizm za wielki nawet na akademika. Czekajmy więc końca!...

Dzisiaj, kiedy walka Anglików w Sudanie

18) „Owszem, uśmiechy, niby gołębi gromady,

Przez ducha przelatują...“

19) Strach! strach! gromada duchów niższych wręcz złamana“.



## Wieczorki wełniane.

zwraca powszechną uwagę na pokolenia Arabów, osiadłych i koczujących w tej części Afryki—i na ich mistycznego przewodzcę Mahdiego z Dongoli, będzie może pożytecznem i przyjemnem dla moich czytelników, taką mam przynajmniej nadzieję, znaleźć tu kilka słów o książce, która rzuca nowe zupełnie światło na mistyczno-wojenną organizację Afrykańskich Muzułmanów.

Staraniem i nakładem Towarzystwa Geograficznego Paryzkiego wyszła na świat książka, pod tytułem: *Bractwo Muzułmańskie Sidi-Mohammeda Ben-Alego-el-Senuzi — i jego posiadłości geograficzne*, przez p. H. Duveyrier'a.

Wytwór tego bractwa jest zupełnie nowożytny. Jego założyciel, Sidi-Mohammed-Ben-Ali-el-Senuzi, urodzony w Algeryi, blisko Mostaganemu, był z professyi prawnikiem i zwolennikiem teologii mistycznej muzułmańskiej — a przedewszystkiem — nieprzebragany wrogiem zaborców ojczyzny, Francuzów. Po zajęciu Algeryi przez tych ostatnich schronił się do niepodległego jeszcze wówczas Lagunatu, a po zdobyciu tej fortecy—do Kairu, potem do Mekki; tam stał się zwolennikiem i uczniem sławnego i wielkiego mistrza *Szadhelizmu*, Achmeta-Ben-Edzisa. Ten, umierając, naznaczył go swym następcą; i Sidi-Mohammed założył wówczas bractwo, przeznaczone do wprowadzenia w praktykę i do otrzymania tryumfu jego doktryny, która zależy: na oddawaniu czci jednemu tylko Bogu; na poszanowaniu świętych za życia tylko, ale nie po ich śmierci; na wyrzecznię się świata i strojów; na posłuszeństwie wodzom i naczelnikom wiernym religijnemu prawu muzułmanów; na zerwaniu wszelkich stosunków z Żydami i Chrześcijanami; i na uważaniu nawet za nieprzyjaciela każdego, kto nie jest Ra'ayą, to jest uległym wiernym Muzułmanniem.

Sekta ta, nazwana *Senuzią* — stała się w Północnej Afryce, najpotężniejszą ze wszystkich. Ma ona swoje klasztory, szkoły, i liczy ogromną liczbę zwolenników, żyjących wśród innych Muzułmanów i nieróżniących się od nich wcale, ani ubiorem, ani sposobem życia. Należący do sekty ulegają ślepo rozkazom przełożonego apostołskiego ich okręgu, poddają wszelkie swe zajęcia pod sąd wybranych z bractwa sędziów, którzy wyrokują stosownie do zasad prawnych Sidi-Mohammeda—i płacą, gotówką, albo pracą rąk swoich, podatek należny bractwu.

Sidi-Mohammed nie żyje; ale syn jego, Sidi-Mohammed-el-Mahdi, nastąpił po nim. Jest on również *Mahdi*, to jest święty; robi cuda; w Puštyni Libijskiej w Dżerhub, trzyma władzę i ma pewien rodzaj książęcego dworu, którym się otacza. Autor nam powiada, że liczy on do 3 milionów zwolenników, i ogarnia pod swą władzę rozległe kraje, począwszy od Maroku aż do Oceanu Indyjskiego, do kraju Somalich.

W Algeryi wiele pokoleń wyznaje tajemnie jego naukę i słucha rozkazów. Autor pewien jest, że morderstwa spełniane na Europejczykach w Puštyni Sahara, od pewnego czasu są sprawą jego sekciarzy — i twierdzi, że ofiary ekspedycji Flattersa na karb tej sekty, policzyć trzeba.

Mahdi z Dongoli, który poburzył Sudan przeciw rządowi Kedywa i przeciw Anglikom, jest to również mistyczny zwolennik Szadhelizmu; pomiędzy tym Mahdim — powiada autor—a Sidi-Mohammedem, jest może więcej współubiegania się o supremacyę mistyczną, niż zgody i jednności działania—ale są to gałęzie jednego drzewa. Dla Francuzów może to być równie niebezpieczne, jak dziś jest dla Anglików.

Wieczorki wełniane, które tak szczęśliwie powiodły się i utrzymały w mieście naszym przez cały karnawał i post tegoroczny, przyniosły z drobnej opłaty, składanej przez osoby biorące w niej udział, 1,075 rs., która to summa została umieszczoną hypotecznie, a procent od niej, po ośm od sta, użytym zostanie na opłatę wpisów szkolnych dla niezamożnej młodzieży, co już w przyszłym półroczu szkolnem miejsce mieć będzie. Ale nie w tym dobrym uczynku leży najważniejszy interes, najważniejsza zasługa *wieczorków wełnianych* i pań, które je takimi uczyniły. Odpór postawiony zbytkowi, który do ubogiego naszego kraju pcha się z zagranicy, niszcząc nas ekonomicznie i moralnie — oto rzecz główna i śmiało powiedzieć można, że wieczorki wełniane, to w bieżącym czasie najdonioślejszy objaw działalności kobiecej w Warszawie. Jest to działalność obywatelska, bardzo wysokiego znaczenia, bo broniąc nas z jednej strony od bankructwa ekonomicznego i wszystkich tych strat, które za niem idą, broni zarazem naszego rodzimego obyczaju, naszej towarzyskości, z którą łączy się niezmiernie wiele względów, w wysokim stopniu ważnych dla rozwoju naszego życia wewnętrznego. Przyjęcia kosztowne, kosztowne stroje kobiet, musiałyby, prędzej później, gościnnym zebraniom po domach rodzinnych koniec położyć, i wyjąwszy już klasy najbogatsze, ograniczyć zabawy do balów i wieczorów publicznych, jak to już jest w całych Niemczech, jak już jest poczęści we Francyi. Czy przecież byłoby to wszystko jedno tak się bawić? Nie.... Życie towarzyskie z jego konieczną niemal dla umysłów, choćby średnio wykształconych, wymianą i zamianą myśli, z jego moralnem oddziaływaniem, ze wzajemnym wpływem umysłowości męskiej na kobietę i kobiecej delikatności, uczuciowości na mężczyznę—wszystko to wyklucza się niemal zupełnie, gdy zabawa z bawialnego pokoju rodziny, z salony, przenosi się do sali resursowej i klubu. Klub, resursa ma swoje znaczenie dla mężczyzn, zwłaszcza tam, gdzie życie publiczne płynie korytem szerokim, ale nie zastępuje ona bynajmniej tych zebrani domowych, tych przyjęć, jakgdyby poufnej natury, gdzie kobieta i mężczyzna spytują się ze sobą nie po to tylko, aby zamienić kilkanaście słów, z konieczności konwencyonalnych, a w najlepszym razie urykowych; aby tańczyć ze sobą, i jedynie powierzchowne strony osoby swojej wzajemnie pokazywać—jak musi być na zebraniach publicznych. W kole przyjaciół i znajomych rozmowa może i musi nawet być inną, dusza pokazuje się nie tylko przez oczy—często zawodne, szczególnie, gdy natura uczyniła je pięknymi; pewne ciepło, za zmniejszeniem etykiety idące, napęnia atmosferę i umysły, serca ogrzewa. Ogromny wpływ kobiety włoskiej w wieku Odrodzenia, ogromny wpływ kobiety francuskiej w czasie następnym — wpływ tak wielki, że odbijał się w sztuce, w literaturze, w całym życiu narodem, poziom umysłowości podnosił lub zniżał, uczuciom nastrój dawał—przez cóż działał? Wiemy wszyscy, że przez salon, co znaczy po naszemu: przez pokój bawialny. Jest to niewątpliwie wielkie pole dla towarzyskiej działalności kobiecej, jeżeli ta działalność w salonie kobiet wysoko postawionych przez inteligencyą i stano-

wisko społeczne, występuje tak, że do historii narodów wchodzi, to całe mnóstwo drobnych saloników działać musi niemniej, choć bez takiego rozgłosu, na obyczaje, na rozprzestrzenianie się pojęć, i kobieta zrzekająca się tej strony działalności swojej, odstepuje od bardzo ważnej pracy obywatelskiej i przestaje być jednym z jej czynników — jednym z jej czynników koniecznych, aby wewnętrzne życie społeczeństwa rozwijało się harmonijnie, zgodnie z naturą. W tych czasach szczególnie, gdy praca mężczyzny koniecznie musi go uczynić na polu naukowem specjalistą, odciecie go jeszcze od tego jedyne go pola, gdzie wymiana myśli może być najszczerzą, starcie tej myśli, dyskusya — najswobodniejszą, stałoby się szkoda—szkodą ogółu, jak bez przesady powiedzieć można.

Pisarz czeski Jelinek, w swojej pięknej, świeżo wydanej książce o kobiecie naszej: „Polské pani a diwky“, do największych jej zasług policzył rozwinięte życie towarzyskie. Poświęcając dziełko swojej kobiecie czeskiej, stawia jej to jako wzór do naśladowania i nacisk na to kładzie, że pomy Czeszka prawdziwie dobrą obywatelką się nie stanie, póki pod tym względem nam nie dorówna; z drugiej strony nam-by się trzeba było uczyć od Czeszki pracowitości, skrzętności i wielu cnót w tym kierunku, ale to już rzecz inna.

*Wieczorkom wełnianym* daną będzie może ta zasługa i ten tryumf dobry, że kobiecie pobratymcy kraju stanie się przez nie pomoc do podźwignięcia się z braku bardzo ważnego, bo Czeszka, oszczędna i pracowita, ani czasu, ani mienia swego na stroje i zbytki trwonić niechęca, nie wiedziała może w jaki sposób ma przystąpić do tego naśladowania naszych obyczajów, o które na nią od lat już kilku silnie wołają. Teraz przecież zbudowanym został jakoby most. Ciche, skromne, a mimo to miłe zgromadzania się u domowych ognisk, rozświecone nie kosztowną suknią, ale tym wdziękiem, który wszyscy kobiecie naszej przysługują: oto wzór, który Czeszka naśladować już może — które wszystkie kobiety nasze naśladować powinny.

Co to jest zbytek w przyjęciu, co to jest zbytek w stroju kobiety? Czy to nie chełpliwa wystawa: wystawa majątku, złota swego, a zatem czy to nie najnudniejsza próżność, nie najlichszego gatunku pycha? Panie—którym wytworzenie *wieczorków wełnianych* zawdzięczamy, podniosły się po nad tę małość niską, i to postawiło je niewątpliwie wyżej nad najwyższe królowanie wśród aksamitów i jedwabi wszelkiego rodzaju.

Ktoś może powie, że piękna kobieta nie z tej małodusznej pychy stroi się i zbytkiem otacza: że chce jedynie dla podniesienia uroków swoich odpowiedniego tła i draperyi... Ależ Junona błyszczała mieniącą się świetnością piór pawich, gdy Afrodyta posiadała tylko przepaskę wdzięku, a przecież zwyciężyła na sądzie Parysa! Grecy znali głęboko naturę ludzką i wierzy ich starej mądrości. Nie piękność to jest, co od sukni, od akcesoriów blask bierze.

Marya Ilnicka.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się arkusz 2-gi powieści pod tytułem: **Natchnienie i Miłość.**

**TREŚĆ.** Etyczne stanowisko kobiety w poezyi naszej, przez M. Ilnicką. — **Pogawędka.** — Samouctwo, II, (dokończenie), przez Floryana Łagowskiego. — Któs, powieść, (dalszy ciąg), przez J. I. Kraszewskiego. — **Król Agis**, dramat, (dalszy ciąg), przez Juliusza Słowackiego. — **Nowiny paryżkie**, (dokończenie). — **Wieczorki wełniane**, przez M. I.

Warszawa. — Druk S. Orgelbranda Synów, ulica Bednarska Nr 20.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою.  
Варшава, 11 Апрѣля 1884 года.